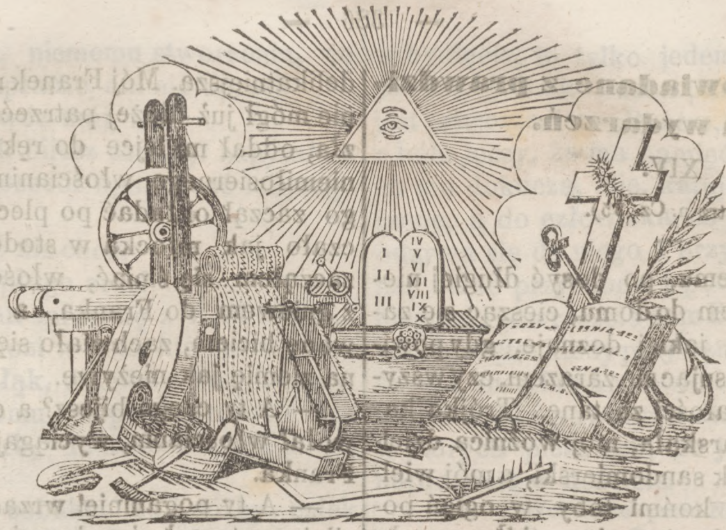
ROK TRZECI.

№ 49.

Warszawa

Dnia 23 listopada (5 grudnia) 1858.

Niedziela 2ga Adwentu.



REDAKCYA CZYTELNI przy ulicy Chmielnej Nr. 1527.

PRENUMERATA rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80, półrocznie k. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45 miesięcznie k. sr. 15.

Na prowincyi i w Cesarstwie rs. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych warszawskich, płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„*Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.*“ (Ś. Wincenty à Paulo)..

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Wzbudź Panie serca nasze dla przygotowania dróg Jednorodzonemu synowi Twemu, iżbyśmy przez Jego przyjście zasługiwali zawsze służyć w czystości duszy Temu, który z Tobą żyje i króluje. (Kollekta na niedzielę 2gą Adwentu).

Ogłoszenie.

Od Redakcyi Czytelni Niedzielnéj

Czytelnia Niedzielna na rok następny 1859, a 4ty swego istnienia, w tym samym formacie, treści i cenie wychodzić będzie.

Prenumerata jéj wynosi:

w Warszawie rocznie	rs. 1	kop.	80
półrocznie		„	90
kwartalnie		„	45
miesięcznie		„	15

Na prowincyi i w Cesarstwie rs. 2 rocznie, a z kopertami rs, 4. Kto zaś prenumeruje w kopercie jedno z pism peryodycznych Warszawskich, płaci tylko rs. 2 rocznie, którą to opłatę w *takim razie* Redakcye pism rzeczonych przyjmować będą. Prenumerować można na wszystkich urzędach i stacyach pocztowych, oraz w Warszawie:

I. W Expedycyi pocztowéj gazet.
II. W Redakcyi Czytelni przy ulicy Chmielnej nr 1527.
III. W Kantorze Głównym przy ulicy Krak.-Przedm. pod nrem 391.
IV. W kantorach szczegółowych, które utrzymują Panowie:

1. Smoleński kupiec, Marszałkowska, nr. 1396.
2. Błaszkowski kupiec, Krakow.-Przed. nr. 395.
3. Betcher kupiec, Krakow.-Przed. nr. 404.
4. Sztebler księgarz, Nowy-Świat nr. 1319, 20, 21.
5. Potrzebski kupiec, Nowy-Swiat nr. 1260.
6. S. Rozmanith kupiec, Nowy-Swiat.
7. Schmidt i Kwaśniewski Elektoralna
8. Tybuchowski kupiec, Nowy-Świat nr. 1305.
9. Staliński kupiec, Nowy-Świat nr. 1274/5a.
10. Dąbrowski kupiec, Sto-Krzyzka nr. 1376.
11. Rutsch kupiec; Książęca nr. 1752.
12. Radzińska handel norym. Krakow.-Przed. nr. 407.
13. Krajewski kupiec, Sto-Krzyzka nr. 1352*b*.
14. Koelichen kupiec, Długa nr. 595*b*6.
15. Ciechanowska sklep zabawek, Podwal nr. 497*a*.
16. Tytz skład mat. piśmiennych, Miodowa nr. 489*e*.
17. Kryszka kupiec, Mostowa nr. 166.
18. Natanson księgarz, Krak.-Przed. nr. 375.
19. Daszkiewicz Długa.
20. Rozmanith kupiec, Sto-Jańska nr. 10.
21. Rejch kupiec, Przejazd nr. 644.
22. Klukowski księgarz Miodowa 495*a*.
23. Bysiński Wierzbowa nr. 413*d*.
24. Kędzierzawski Długa.
25. Zawadzki księgarz, Krak.-Przed. nr. 389.
26. Szafir skład mat. piś., Freta nr. 280.
27. Wiśniewski kupiec, Nowe-miasto nr. 326.
28. Grabowski kupiec, Graniczna nr. 967.
29. Szuster Wierzbowa.
30. Szczyciński Wierzbowa.
31. Wojczyński skład mat. piśm, Wierzbowa nr. 614*b*.
32. Rakoczy „ „ „ 473.
33. Neuding księgarz, Żabia nr. 950.
34. Friedlejn księgarz, Senatorska 460.
35. Kalinowska Senatorska.
36. Swierczewski kupiec, Leszno nr. 671*b*.
37. Zakaszewski introligator, Krak.-Przed. nr. 391.

Szanowni prenumeratorowie, mianowicie na prowincyi zamieszkali, raczą wcześniéj się zapisywać, aby uniknąć opóźnienia w otrzymywaniu Czytelni Niedzielnéj.

Powiastki opowiadane z prawdziwych wydarzeń.

XIV.

(Patrz n. Cz. 35).

—

Kilka tygodni temu, po dosyć długiej nieobecności wracałem do domu, ciesząc się zawczasu tą radością, jakiej doznaje, gdy powitam swoje kąty, i frasując się zarazem, czy wszystko w zdrowiu i całości zastanę. Trójka kasztanów wesoło parskała, mój woźnica dzielny i żwawy chłopek sandomierski, a mój wielki faworyt, bo za końmi toby w ogień poszedł, a krzywdyby im nie zrobił, wesoło poglądając po świecie, potrzaskiwał z bicza, i kiedy niekiedy głosem zachęty przemówił do ciągnącej *dziatwy*, jak zwykle konie nazywał. Jużeśmy byli nawpół drogi od ostatniego popasu, kiedy wjeżdżając do lasu, na samym jego początku spostrzegliśmy furę jednokonną naładowaną drzewem, a przy niej włościanina niemiłosiernie okładającego kijem biedne i chude bydlę. Było to wprawdzie pod niewielką górkę, fura także nie była zbytnie przeładowaną, ale oprócz siły, jaką Pan Bóg dał zwierzętom, potrzeba koniecznie pokarmem siły te w nich utrzymywać; a tu szkapsko Bóg wie jak było żywione, a może i cały dzień nie jadło, bo boki tak miało wklęsłe, że się prawie z sobą schodziły, i żebra zdaleka można było porachować.

Mój Franek patrząc na to, aż syknął z niecierpliwości, poprawił się tylko na siedzeniu, i zaczął mruczeć pod nosem:

— A to juda taki człowiek, żeby bydlę tak katować! ażeby cię ogroziło.... Jeść nie da, a chce, żeby mu szkapsko ciągnęło. Oj! zaprzągłbym ja ciebie i poganiał, tobyś dopiero poznał, jakto smaczno, kiedy każą ciągnąć nad siły i do tego batem liżą skórę.

Włościanin widząc, że bicie już nic nie pomoże i popychanie od przodka niby dla ulżenia, na nic się nie przyda, podrapał się w głowę, obszedł wóz dokoła, spojrzał na sapiącego i ledwo na chwiejących się nogach stojącego konia, i zniecierpliwiony porwawszy nowy kij w rękę, zaszedł mu odełba, i klnąc, walił co się zmieściło, bez uwagi, że może biedne bydlę oślepić, a nawet i zabić, boć to głowa u każdego stworzenia jest najdelikatniejsza. Mój Franek na takie katowanie nie mógł już dłużej patrzeć; zerwał się z kozła, oddał mi lejce do ręki i przybiegłszy do niemiłosiernego włościanina, biczyskiem tak go zaczął okładać po plecach, że tylko huczało jak młocka w stodole. Ja naturalnie zacząłem się śmiać, włościanin zwrócił się z gniewem do Franka, a szkapsko zmordowane biciem, zachwiało się, uklękło i padło na ziemię jak nieżywe.

— A ty czego bijesz? a co ty za jeden? zawołał włościanin, wyciągając ręce do gardła Franka.

— A ty poganinie! wrzasnął Franek, i tak silnie zatrząsł nim, bo miał mocy w sobie za dwóch dobrych chłopów, że włościanin tylko stęknął i natychmiast spokarniał i zrobił się potulny jak malutkie dziecko.

— A ty poganinie, mówił dalej ze złością Franek, dlaczego tak katujesz bydlę,? co ono ci winno?

— A i dlaczegoż nie ciągnie? odrzekł włościanin. Ale puśćcie mnie, zkąd takie masz mój człowieku pozwoleństwo do bicia ludzi na gościńcu? szkapa moja, a nie twoja.

— Co? jeszcze będziesz... przerwał Franek, i zatrząsł włościaninem jakby gruszką, że aż mu kapelusz zbakierował się na głowie i wreszcie spadł na ziemię. Widząc, że kłótnia ta może się przemienić pomału nawet w bitwę, choćby nic nie szkodziło, że za taką nieludzkość troszkę katownikowi pochrobotał kości, kazałem jednak Frankowi puścić włościanina, a że bryczką swoją zrównałem się ze stojącą furą, i pragnąc kłótnią zagadać, odezwałem się:

— Mój człowieku, a zkądże ty jesteś?

— Z Kozłowej Woli, wielmożny panie, odrzekł włościanin, nisko się kłaniając, poprawiając rozmamanego odzienia, i zukosa ciskając okiem na Franka.

— A ten koń czy to twój?

— Kajby to jego był, odezwał się Franek; poczciwy gospodarz z biednem bydlęciem nigdy się tak pozbójecku nie obchodzi, ino zły najemnik, albo nicpoń służący. To musi być jakiś wytyracz wiejski.

— Nie wytyracz żaden, odrzekł z gniewem włościanin, ino gospodarz.

— Albo to prawda? ja ino służący jestem, a prędzejbym sobie dał krzywdę zrobić, jak

biednemu bydlęciu, niememu stworzeniu, co się nie użali, nie zapłacze, ani nie uprosi.

— I koń mój, i wóz mój, i...

— A i za cóż tak bijesz szkapę? zapytałem się, gdy Franek poszedł opatrywać leżącego konia na ziemi.

— A bo ciągnąć nie chce.

— A któż ci w pługu orze?

— A jużcić on na sprzążkę z Walkowym.

— A kto gnój wozi w pole, kto zwozi snopki z pola, siano z łąk, drzewo z lasu, i wszystkie roboty w domu i w polu kto robi? kto cię wozi na jarmark, do kościoła, lub po jakim interesie?

— A jużcić on sobaka, bo i cóżby człek był za gospodarz, gdyby szkapy nie miał.

— A więc widzisz mój człowieku, kiedy koń oddaje ci tyle posług i tak jest użytecznym, to go trzeba bardzo szanować; żeby miał siły i zdrowie, trzeba pamiętać zawsze regularnie go nakarmić, napoić, oczyścić, posłać pod niego, w robocie go nie przeciążyć, ładunku na furę nie przebierać, to wtenczas i koń będzie pięknie wyglądał i gospodarz będzie miał z niego pożytek jak wypada. A jeżeli koń głodny, zbiedzony, z obrobionemi bokami, pokaleczony, zbity, nienakarmiony, nienapojony w swoim czasie, to jakże chcesz, żeby ciągnął i do tego pod górę, i z taką ogromną furą?

— A i od czegóż go mam? przecież od roboty, odmruknął włościanin.

— Od roboty, to prawda, ale od takiej, na jaką siły jego wystarczą. Cóżbyście wy naprzykład robili, gdyby wam w pańszczyznie gwałtem kazano kopę oziminy omłócić na dzień na jednego, kiedy wiecie, że tylko pół kopy się należy?

— A tobym nie obił, bo co nie można, to nie można.

— A jakbym stanął nad wami z kijem albo batem, i dalej to po plecach, to nogach, to po głowie, i ciągle wołał: a nuże, a młóćże, a nie stój, a dalej, i batem i kijem zachęcał, to cóżbyście wy na to powiedzieli?

— Co nie można, to i bicie nie poradzi, odrzekł włościanin, ale wreszcie proszę wielmożnego pana, co innego człowiek, a co innego bydlę. W człowieku jest przecie dusza, a w bydlęciu ino para.

— Mój człowieku, odrzekłem na to, co jest w bydlęciu, to tylko jeden Bóg wie najlepiej; zawsze jednak trzeba pamiętać, że i bydlę jest stworzeniem Bożem, że ma czucie, bo z bólu jęczy, że ma pamięć, bo od człowieka co mu dokucza, bije, katuje, ucieka jak oparzone, a do człowieka, co je pieści, głaszcze, odzywa się do niego z przychylnością i karmi, samo przychodzi i potem jak pies za nim biegnie, i że wreszcie sam Bóg nakazał szanować bydlęta, kiedy przy narodzeniu Zbawiciela świata, nietylko królowie i pastuszkowie nieśli Mu hołd i powitanie, ale nawet, jak to stoi w starych pieśniach, co je śpiewają w Boże narodzenie w kościele:

Wół i osieł przed Nim klękali,
Bo swego Pana poznali.

Bydlęta więc trzeba szanować raz, że sam Bóg nakazuje, drugi raz, że nam niosą taki pożytek, iż bez bydląt człowiek prawie w niczemby sobie nie umiał poradzić. Sam, mój człowieku przed chwilą powiedziałeś, iż szkapsko to jest twoje, bo cobyś był za gospodarz, gdybyś go nie miał, i powiedziałeś prawdę; więc tylko pomyśl sobie, coby to było na świecie, gdyby Bóg ze świata zabrał wszystkie stworzenia żyjące, a zostawił tylko człowieka?

— A niechże Bóg broni, odrzekł na to włościanin, wzdychając; kiedy w ostatnich latach przyszła choroba na rogaciznę, co bydło padało nikiej muchy, to we wsi proszę wielmożnego pana, taki był płacz, lament, nikiej sądny dzień prawdziwy. A przecieć jedno padło, drugie się utrzymało; gdyby więc miało wszystko na całym świecie wyzdychać, to ludzie chybaby się zamartwili. Dlatego o tem, co mi tu wielmożny pan nagadał, to póki mego życia nie zabaczę. Człek proszę wielmożnego pana, prostak, to sobie nie umie tak wszystkiego przełożyć jak wypada, i dlatego choć czasem pobłądzi, to nie ze złości, ino z tego, że ta nie ma w sobie nijakiej nauki.

— Otóż to, toście dopiero mądrze powiedzieli, odezwał się Franek, i przystąpiwszy ku włościaninowi, mówił dalej: dlatego wybaczcie mnie to, co włożyłem wam na plecy, bo widzicie, ja dla bydląt takie mam miękkie serce, żebym dla nich od gęby odjął, a nigdybym mu krzywdy nie zrobił. Wybaczcie więc, wybaczcie mój gospodarzu.

— Wybaczam wam mój Franciszku z ca-

łego serca, odezwał się na to włościanin; człek przecie nie poganin i ma jakie takie swoje zastanowienie, to jak mu kto przełoży z poczciwością i z rozumem, to odrazu pozna co dobre, a co złe.

Poczciwi ludziska się pogodzili, biednemu szkapsku kazałem dać garstkę obroku i pożegnawszy się z włocianinem, który się nazywał Józef Gruda, ruszyłem dalej w podróż.

W pół roku później jadąc na jarmark do pobliskiego miasteczka, spotkałem się znowu z Józefem jadącym z żoną wozem, zaprzężonym w parę dobrych koników. Poznawszy mnie, wyskoczył z wozu, i przybliżywszy się do bryczki, rzekł:

— Wielmożny panie, słowa wielmożnego pana poczciwe i mądre nie poszły w las, bo oto nareszcie szkapsko, co sobie z fantazyi łbem kiwa, to naprzód Boskie, a potem moje, i to jest to samo, co z biedy i głodu ustało mi wtedy pod górę. Co prawda, zmartwienia z niem miałem co niemiara, ale przy starunku przyszło do siebie i tak skrzepniało, co go trudno poznać, że to dawne biedactwo.

— I jakżę, kontent jesteś z tego? zapytałem.

— Ba! i spojrzeć jest na co, i robota inna, i z batem nietrzeba tak wojować jak dawniej. O, niechno wielmożny pan zobaczy.

To rzekłszy Józef, musknął na konie, te zastrzygły uszami, poruszyły się niespokojnie i chciały w świat śmignąć, niby ptaki na skrzydłach.

— A co Franciszku, odezwał się znowu Józef z uśmiechem, już i wasze pewno nie żwawsze, choć cugowe?

Franek się także uśmiechnął, ochotnie przekręcił czapkę na bakier, i trząsnąwszy lejcami, pojechał dalej w drogę, a za nami tuż Józef, już nas nie opuszczając do samego miasteczka.

Sługi warszawskie.

— Co wy tu robicie, moja Maciejowo, rzekła do siedzącej na klocu drzewa w dziedzińcu Karmelickim około kantoru służących, starej kobiety, młoda i czysto ubrana służąca z koszem w ręku, czy i wy służby szukacie, czy już i wam przyszła ochota opuścić starych swoich panów?

— A niechaj mnie Bóg broni od tej chęci moja Kasiu; dzięki Bogu państwo moi kontenci ze mnie, a mnie bardzo u nich dobrze. Oto zatrzymałam się, wracając z kościoła; wypatruję tu mojej córki Jagusi, która jak się z bólem serca dowiedziałam, oddala się od swoich panów i ma tu przyjść szukać nowej służby. Poczciwa Basia, co z nią razem służy, przybiegła dziś rano do mnie z tą wiadomością, a zarazem ostrzegła, że ta niegodziwa Antoniowa, co to ją zewsząd wyganiają, zbuntowała moję Jagusię.

— A zkądże Antoniowa dostała się do niej? wszakże wasza Jagusia u państwa na Chłodnej ulicy, a ona służyła teraz na Sewerynowie.

— Ale gdzie tam moja Kasiu, ta niegodziwa już trzecią służbę zmieniła w tym kwartale i jak na moje nieszczęście dostała się na Chłodną ulicę do bliskiego domu, w którym służy Jagusia.

— Cóż ją obchodzić mogła służba Jagusi i co na tem skorzysta, czy ona zostanie u swych państwa, czy odejdzie, przecież na jej miejsce nie wejdzie? bo niezdatna na młodszą.

— O! ty nie wiesz moja kochana, co to za gady te włóczęgi, co to nigdzie kąta nie zagrzeją; one to starają psuć i buntować wszystkie dobre i porządne sługi, sądząc, że mniejszy grzech ciążyć ich będzie, jeżeli więcej będą widziały podobnych do siebie. Bóg świadkiem, że nikomu złego nie życzę, ale szczerze bym się cię cieszyła, gdyby ta niegodziwa została kiedy na bruku bez służby; poznałaby wówczas, co to głód i nędza, i możeby się nauczyła szanować poczciwie zapracowany kawałek chleba.

— Ale co też to tu za zbiegowisko sług moja Maciejowo, widać, że niejedna Antoniowa tak lubi zmiany.

— O! posłuchajno, jak śpiewają te dobrodziejki, co je tu widzisz, a ręczę, że podziękujesz Bogu, iż cię lepszą stworzył i nie doprowadził do takiego zepsucia. Nic dziwnego, że państwo tak dziś na sługi narzekają, kiedy te oto bestye jeszcze przed wejściem do służby już tak hardo i grubiańsko obchodzą się z państwem i licho wie, czego nie wymagają.

Kasia przysiadła obok Maciejowej i zwróciła

uwagę na małe kółko, które się obok nich utworzyło z dwóch pań i sługi, nie gorzej od nich ubranej i tak przemawiającej:

— Do czegóż pani chcesz służącej? bo ja jestem kucharką i tylko kuchnią zająć się mogę. Może pani będziesz wymagała, żebym myła, prasowała, albo uprzątała pokoje, tak, jak wiele pań, co to jedną sługą chcą cały dom obsłużyć?

— Nie, moja kochana, odrzekła pani łagodnie, ja właśnie szukam kucharki, i ciebie tylko do kuchni chciałabym użyć.

— A gdzie pani mieszka?

— A cóż to ciebie ma obchodzić?

— O! i bardzo obchodzi, bo ja nie na wszystkich ulicach lubię służyć.

— Mieszkamy na Lesznie za Karmelitami.

— Leszno... to jeszcze ujdzie, szkoda tylko, że tak daleko. Jakież u pani ma obowiązki kucharka, bo ja zgóry lubię wiedzieć, czego odemnie wymagają, i to robię, na co przystanę przy umowie.

— Przecież wiesz moja kochana, co do kucharki należy. U mnie kucharka robi to, co i u innych: przyrządza obiad dla nas i dla sług, oczyszcza naczynia kuchenne i stołowe i przynajmniej raz na tydzień myje kuchnię i schody.

— Dziękuję za taką służbę, odrzekła gniewnie kucharka i wskazując na swoję suknię i na prunelowe buciki, dodała: przecież pani widzisz, że ja nie wyglądam na pomywaczkę do szorowania kuchni i schodów... i to rzekłszy, odeszła.

Druga służąca, którą te panie zagadnęły, rozpoczęła od zapytania:

— A wiele osób u pani w domu? bo ja ciężkiej pracy podjąć się nie mogę.

— Ośm osób ze służącymi, odrzekła pani.

— A jakie utrzymanie mają u pani sługi? bo ja proszę pani, muszę szanować się bardzo i zawczasu chciałabym wiedzieć, czy pani pozwoli mnie gotować dla siebie to, co nie szkodzi mojemu zdrowiu; a także uprzedzam panią, że ja ani wody, ani drzewa nosić nie mogę i praniem się nie trudnię. Ale, ale, zapomniałam się zapytać, czy pani mieszka na piętrze.

— Na drugiem piętrze; ale widzę moja kochana po twoich zapytaniach i wymaganiach, że nie dla mnie jesteś sługą. Ja potrzebuję służącej pracowitej, nie tak wymyślnej; u mnie wszystkie sługi muszą jeść to, co im dają i zajmować się tem, co im każą, bo za to mają utrzymanie i zapłatę.

Następna obszernie się rozpytywała także o swoje obowiązki, o piętro, na którem państwo mieszkają i zerwała umowę, dowiedziawszy się, że pani sama chodzi do miasta za kupnem wiktuałów.

Co mi to za służba, mówiła, moja pani? my prawdę mówiąc, liczymy sobie zwykle z koszykowego, bo to z zasług trudno się utrzymać teraz. Przecież pani wie, co kosztują buciki, kalosze, a co ubranie u porządniejszego krawca; na to wszystko pensya nie starczy.

— Czy ty masz sumienie? odrzekła jéj pani, mówić tak otwarcie o chęci przywłaszczania sobie cudzego grosza; wszakże to czysta kradzież ten, co ty nazywasz dochód z koszykowego, czy się nie lękasz kary Bożéj za grzech tak ohydny?

— Panie nazywacie to kradzieżą, a my uważamy, że to tylko dochodzik nastręczany nam przez takie panie, co same nie lubią chodzić do miasta. Prawda, że to także nie tak wiele takich pań, coraz więcéj mądrzeją panowie i kurczą się, niezadługo może i sług potrzebować nie będą; to mówiąc, oddaliła się.

Inna chciała się godzić tylko na miesiąc dla wypróbowania państwa i dla poznania służby, usprawiedliwiając się tem, że teraz państwo bardzo wiele od sługi wymagają. Miałam naprzykład teraz taką dziwaczkę panią, co chciała, żeby człowiek zapomniał u niéj o całym bożym świecie, i tylko raz na tydzień pozwalała wychodzić na parę godzin do kościoła. Co to za życie taka służba? to czysta niewola.

— A cóż robić będziesz bez służby moja kochana, jeżeli chcesz żyć uczciwie?

— Ot jakoś się żyje moja pani; już dwa kwartały jestem bez służby, a z głodu nie umarłam, człowiek jeszcze nie taki stary i nie taki głupi, żeby nie mógł sobie poradzić—byłabym tak i dłużéj, żeby nie matczysko moje, co mnie ciągle spokojności nie dają, żeby iść do służby i Pana Boga nie obrażać. Cóż robić? muszę przecież słuchać matki.

Zniecierpliwione panie napróżnem poszukiwaniem takiéj sługi, któraby okazała chęć przynajmniéj przyjęcia służby, odeszły.

W tym czasie zbliżył się w to miejsce przystojnie ubrany mężczyzna z dwoma idącymi za nim

w wyszarzanych fraczkach sługusami, z których jeden z wąsikiem i bródką tak się rekomendował do służby:

— Już to będzie pan miał ze mnie zręcznego i porządnego sługę, bo ja chodziłem po dobrych panach.

— U kogóż byłeś w ostatniéj służbie?

— U bankiera; co prawda to prawda, że takich panów niewielu w Warszawie, i nie mam pretensyi do takiej służby. Na nieszczęście moje, na nieszczęście większe tych, których pozarywał, zbankrutował, i teraz jak mówią, ma bezpłatny apartament na Lesznie, dodał, śmiejąc się znacząco.

Ale co to panie za służba u nich była!.. nic się prawie nie robiło, pensye dobre, dodatków bez liku, to na fryzyera, to na rękawiczki, to na białe chustki i kamizelki, a nawet sama pani bankierowa dodawała na perfumy, a jak zachciało się któremu z nas dostać jakiego rubelka, postanowił tylko cały dzień mówić panu bankierowi co wyraz: *Jasny Panie*, a pani pani bankierowéj: *Jasna Pani*, to z pewnością już mógł liczyć na rubelka, a czasem i więcéj, bo to zależało od tego, *jakich* pan bankier *robił interesów*, dodał, śmiejąc się i naśladując, widać głosem swojego dawnego pana.

— Ale dajże mi pokój z twoim zbankrutowanym bankierem; oto powiedz lepiéj, czy jesteś zdatny do służby, a nie do próżniactwa i wywabiania rubelków?

— O! zdatny jestem jasny panie, do wszystkiego, tylko chciałbym wiedzieć, czy jasny pan mieszka w Warszawie, czy na wsi, bo ja za żadne pieniądze nie pójdę na wieś. Człowiek panie przywykł do téj Warszawki, do tych murów i bez nich nie umiałby sobie dać rady.

— No, a ty mój kochany, czy także tak lubisz Warszawę, bo ja często wyjeżdżam i bawię po kilka miesięcy na wsi, potrzebuję więc służącego, któryby i w mieście i na wsi był ze mną.

— O, i ja jasny panie! odrzekł drugi, tylko w Warszawie służyć umiem, na wieśbym się nie przydał.

Wkrótce po odejściu tego pana, Maciejowa zerwała się nagle z siedzenia i pożegnawszy naprędce Kasię, pobiegła ku zbliżającéj się młodéj i bardzo przystojnéj dziewczynie, którą otaczały dwie średniego wieku kobiety; z tych jedna w dość lichéj odzieży, a druga przeciwnie wystrojona z pretensyą i wyrużowana. Na widok Maciejowéj dziewczyna zadrżała i silnie zarumieniona spuściła oczy.

— Na ciebie właśnie czekałam moja Jagusiu! odezwała się Maciejowa, biorąc ją za rękę i odprowadzając od dwóch kobiet, a z tobą niegodziwa, rzekła do Antoniowéj, rozmówię się potem i podziękuję ci za dobre rady i nauki, które dajesz mojéj córce.

— A któżto asani powiedział, że ja namawiam na złe waszą córkę? Ona sama nie chciała być dłużéj u swoich nudnych panów, a ja nastręczyłam jéj dobrą służbę u téj pani; będzie w kawiarni i ręczę, że tam więcéj zarobi na kwartał, jak w służbie swojéj za kilka lat.

— Niechaj ci Bóg nie pamięta niegodna kobieto twojej przysługi, pómyśl lepiéj o sobie, a zostaw moje dziecko, które mając matkę, nie potrzebuje żadnéj więcéj opieki. To mówiąc, spiesznie oddaliła się, uprowadzając z sobą Jagusię.

Przyszedłszy do mieszkania swego, Maciejowa rozpytała się łagodnie córki o powodach jéj niechęci do służby u swych państwa; Jagusia opowiedziała, że jéj dobrze było w téj służbie, ale Antoniowa zaczęła ją codziennie prawie od kilku miesięcy namawiać, że marnuje wiek swój młody i swoję urodę w ciężkiéj codziennéj pracy, że ona wynajdzie jej taką służbę, w któréj niewiele będzie miała do roboty, a otrzyma i dobre wynagrodzenie i piękne suknie, i że będzie mogła i matce pomagać i z czasem wyjść dobrze za mąż, i prosiła ją tylko o sekret przed matką. Wtedy ona długo się opierając, nareszcie uległa namowom i wypowiedziała swoim państwu służbę i właśnie szła już do téj pani, która utrzymuje kawiarnię przy ulicy Trębackiéj.

Maciejowa z przerażeniem i ze łzami wysłuchała opowiadania swej córki i z czułością macierzyńską całując ją, rzekła: upadnij moja Jagusiu wraz ze mną na kolana i pomódl się gorąco do Boga, że cię od zguby ocalił. Czy ty wiesz, co ciebie i mnie czekało moje dziecię? Oto ta niegodziwa chciała ciebie wtrącić w przepaść nieszczęścia i skazać na wieczną hańbę; bo żadne suknie, żadne bogactwa nie potrafiłyby zasłonić ciebie od pogardy ludzkiéj i od kary Bożéj, a ja nieszczęśliwa umarłabym ze wstydu i zgryzoty. Nie zapatruj się

moja kochana na te nieszczęsne istoty, które coraz więcéj mnożą się w naszem mieście, świecąc bogatemi sukniami; najczęściéj i prawie zawsze kończą one albo w szpitalu, albo okryte łachmanami z zeszpeconem ranami obliczem wyciągają rękę po jałmużnę, albo niektóre z nich nielękające się chociaż lekkiéj pracy, roznoszą po mieście obwarzanki, lub zbierają po śmietnikach gałgany. Oto taki koniec moja kochana tych wszystkich rozpustnic, co się zamłodu wyrzekły Boga i poczciwéj pracy, którą jedynie można zjednać i łaskę nieba i szacunek u ludzi. Wyrzecz się moja droga na zawsze tych złych myśli które na chwilę zamąciły twoję spokojność. Bądź zawsze dobrą córką, nic nie czyń bez mojéj rady, nie zapominaj o tych przestrogach, które ci zawsze dawałam, powróć do twoich państwa; albo pójdźmy razem, ja ich przeproszę za ciebie, a ręczę, że przebaczą ci nierozwagę twoję. Służ tak, jak ja moja kochana, z przywiązaniem do twoich państwa, a zapewniam, iż będziesz od nich lubioną i nagradzaną. Przypomnij sobie jak wraz zemną płakałaś z radości, kiedy dostałam przed trzema laty nagrodę, za moję ośmnastoletnią u jednych państwa służbę z funduszu senatora Zacharkiewicza; pamiętasz, żeś mi wówczas przyrzekła, iż i ty starać się będziesz zasłużyć na taką samą nagrodę.

Jagusia przejęta tak zbawiennemi radami matki upadła jéj do nóg i z czułością całując je, przysięgła, że raz nazawsze pozostanie wierną jéj przestrogom i nigdy nie zejdzie z drogi cnoty i pracy, jaką ona jéj wskazała, potem pomodliwszy się i podziękowawszy Bogu za tę widoczną Jego łaskę, udała się razem z matką do dawnych swych państwa, którzy ją z radością jako dobrą sługę na powrót przyjęli.

Palmy, jako osobliwe drzewa krajów gorących.

—

Palmy zarastające lasy gorących krajów, tem się różnią od drzew u nas rosnących, że ich pień zwany u botaników *trzonem*, nie jest tak jak pień naszych drzew kręglowaty, czyli coraz ku wierzchołkowi cieńszy, ale jest wszędzie jednakiéj grubości, czyli ma kształt kolumny walcowatéj. Trzon palm jest gładki to jest nie ma kory, liście prawie u wszystkich są wielkie, na długich ogonkach osadzone, pierzasto podzielone lub wachlarzowate, i wszystkie razem zebrane tworzą na wierzchołku trzona gęstą czuprynę. Kwiaty zwykle w jedną kiść zebrane wyrastają z pomiędzy liści. Owoc palm jest ogromny, mięsisty lub włóknisty orzech.

Poznano dotąd przeszło 170 gatunków drzew palmowych; najlepiéj się one udają w krajach gorących, ale razem wilgotnych; dlatego ojczyzną ich jest pas ziemi z obu stron równika po 450 mil rozciągający się, szczególniéj nad brzegami mórz i rzek. Wszystkie palmy są drzewami okazałemi, w tem od naszych drzew się różnią, że nie mają gałęzi; co do pożytków, przewyższają one drzewa zimniejszych okolic, bo dostarczają mieszkańcom smacznego i pożywnego pokarmu, przyjemnego napoju, różnych sprzętów domowych, materyału do budowy mieszkań, odzienia, jednem słowem mają z nich mieszkańcy wszystko, co im jest do pierwszych potrzeb życia niezbędne.

Ważniejsze gatunki palm są:

Palma Sagowa (Sagus farinifera) dorasta do 30 stóp wysokości, a grubość do 6 stóp dochodzi. Najważniejszą częścią téj palmy jest trzon, wypełniony rdzeniem mączastym. Ta palma rośnie w wschodnio-południowéj Azyi, jakoto: w Indyach i na wyspach Moluckich.

Powszechnie znane u nas *Sago* wyrabia się ze rdzenia palmy sagowej; jest to pokarm zdrowy, łatwy do strawienia, a nawet jako lekarstwo dla osób słabych służyć może. Nie w każdym czasie otrzymywać można sago z tego drzewa, lecz tylko w czasie dojrzałości rdzenia, co poznać można po białym proszku na liściach palmy się ukazującym. Wtedy to właściciele tych drzew każą je ścinać tuż nad korzeniami, przecinać na kilka klocków 5 do 6 stóp długich i odłupywać drzewo z jednego boku każdego klocka. Tak odkryty miękki rdzeń przekrawają w poprzek w kilku miejscach. Po takiem przygotowaniu starannem wyskrobują ze rdzenia mączkę sagową, nalewają na nią potrzebną ilość wody, mieszają i ubijają tłuczkami, dopóki włókna, których się mączka trzymała, nie oddzielą się i na wiérzch nie wypłyną. Teraz dopiero od-

łączają włókna od papki sagowéj, którą zachowują w koszykach plecionych z liści tejże palmy do użytku.

Do nas przychodzi sago w kształcie ziarn, podobnych do perłowéj kaszy. Chcąc je zachować od skwaśnienia, należy je trzymać w szczelnie zamkniętych naczyniach, żeby powietrze nie miało przystępu.

Palma sagowa dla Indyan jest drzewem bardzo ważnem, dla wielu tamtejszych mieszkańców sago jest wyłącznym przez cały rok pokarmem; jak zaś obfitego zbioru ta palma dostarcza, widzimy to z następnego obliczenia. Na przestrzeni 200 prętów kwadratowych, czyli na morgu jednym gospodarskim, może wygodnie rosnąć 450 drzew sagowych; przyjąwszy, że każde drzewo wyda średnio 300 funtów sago, i że ta ilość trzy razy wzięta, wystarczy na wyżywienie przez rok jednego dorosłego człowieka, to przestrzeń powyższa gruntu zasadzona palmą sagową dostarczy pokarmu dla 21 ludzi rocznie; a tu widzimy, że żadna z naszych roślin pokarmowych nawet ziemniaki, nie dostarczy tyle żywności z tak małéj przestrzeni gruntu. Tak to Opatrzność uposażyła mieszkańców każdej okolicy ziemi różnemi dobrodziejstwami. My mieszkańcy umiarkowanego klimatu uprawiamy zboże, jarzyny, chodujemy trzody, a gdy się nam wszystko uda, mamy dostateczne wyżywienie; mieszkaniec Azyi południowéj ścina palmę sagową i ma z niej na kilka miesięcy wyżywienie.

Palma kapuściana (Areca oleracea). Trzon téj palmy wyrasta wysoko, a do 6 stóp ma obwodu; między pierzastodzielnemi liściami na wierzchołku ukazują się szczególne wyrosty białe, jak ręka grube do 3 stóp długie, i te stanowią tak zwaną *kapustę palmową*. Mieszkańcy wysp Karaibskich, na których te palmy obficie rosną, ścinają drzewo dla owych kapuścianych wyrostów, które w smaku są podobne do słodkich migdałów.

Z innego gatunku palmy kapuścianéj ważne są w Indyach owoce, które mieszkańcy krają na kawałki, ucierają z wapnem wypalonem z muszli, i tak przyrządzone zawijają w liście pieprzu zwanego *betel* i podają do żucia przychodzącemu w dom gościowi; przysmak ten nazywają *betel*.

(Dokończenienie nastąpi.)

Życiorysy kmieci.

(Patrz n. Cz. 47.)

5. Antoni Wojcik.

Z powiatu Hrubieszowskiego gubernii Lubelskiej, ze wsi Zwiartowa, Towarzystwo Rolnicze w Królestwie Polskiem przyznało nagrodę Antoniemu Wojcikowi: list pochwalny i rubli sr. 50.

Jest to gospodarz pańszczyzniany, który przy bogobojnem i moralnem życiu, przy trzeźwości i prawem postępowaniu, odznaczał się dobrą uprawą roli i wzorowem chodowaniem bydła. Antoni Wojcik pomnąc na to, że praca powinna się obracać nietylko na nasz własny użytek, ale trzeba pracować i dla dzieci i przyszłości, nie biorąc złego przykładu z sąsiadów, co jak budowali mieszkanie, to klecili aby zbyć, aby tylko im samym do śmierci wystarczyło, nie troszcząc się o toby, najmniej, czy budowla przyda się dla dziatwy, wystawił dom mieszkalny swoim kosztem, mocny i trwały o dwóch izbach, z podłogą, z większemi oknami i okienicami. Stał się przez to wzorem w téj właśnie okolicy naszego kraju, gdzie był starodawnym podaniem wspierany zwyczaj, jeszcze z czasów najazdów Tatarskich, że włościanin zamożniejszy, nie myślał o trwałej budowli dla siebie, ale oszczędnością grosz uzbierany w garnku glinianym troskliwie w ziemi zagrzebywał.

Kiedy dnia 19 września r. b. dostojny Biskup Sufragan Dyecezyi Lubelskiej, JW. Baranowski własną ręką rozdając nagrody przeznaczone przez Towarzystwo Rolnicze, doręczył Antoniemu Wojcikowi list pochwalny i rubli srebrem pięćdziesiąt, ten dołożył jeszcze własną pracą zebrane drugie rs. 50 i razem 100 rs. oddał swemu proboszczowi, prosząc, aby za to kielich do mszy świętéj sprawił. „To, co mi z łaski Bożej przyszło, mówił szlachetny Antoni Wojcik, na chwałę Bożą iść powinno; pochwałę publiczną z pismem cenię wyżéj nad wszelkie pieniądze".

Oby Bóg dobry dał ziemi naszéj więcéj tak poczciwie myślących kmieci!

Wdruk. J. Ungra.—Wolno drukować.—Warszawa d. 17 (29) listopada 1858 r. Starszy cenzor, *F. Sobieszczański.*